

Jakub Wiech: Elektrownia słabości

Nie szanuje się dokumentów o kluczowym znaczeniu dla gospodarki. Patrzy się kadencyjnie. Panuje strach przed decyzyjnością. Nie istnieje komunikacja ze społeczeństwem. W takich warunkach nie da się realizować potężnych projektów infrastrukturalnych – pisze Jakub Wiech w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Atomowa racja stanu”.

Polska buduje swoją elektrownię jądrową od ponad 50 lat – i cały czas nie jest w stanie postawić nawet jednego reaktora energetycznego. Oczywiście, okres ten nie polegał na realizowaniu jednego projektu; niemniej, trzy przedsięwzięcia realizowane przez pięć dekad pokazują to samo: polskie państwo ma krótkowzroczne elity, jest słabe instytucjonalnie, nie potrafi skoordynować wewnętrznie długoterminowych działań.

Jaką siłę daje atomowy stos

Pierwsze oficjalne decyzje w sprawie polskiego atomu zapadły w roku 1971, czyli za rządów Edwarda Gierka, który chciał włączyć energię jądrową do krajowego systemu energetycznego – notabene, to właśnie towarzysz Gierek jest człowiekiem, który jak dotąd miał największy wpływ na transformację energetyczną Polski (to dość wymowne). Projekt epoki PRL, realizowany w nadmorskim Żarnowcu, był najbliższy ukończeniu – rozpoczęto już prace budowlane na lokalizacji, które były

prawie gotowe do przyjęcia reaktorów. Do tego jednak nigdy nie doszło – choć jednostki te zostały nawet zamówione i pracują do dziś w Finlandii i na Węgrzech. Co poszło nie tak? Intuicyjną odpowiedzią na to pytanie jest katastrofa w Czarnobylu. Ale to nie porażka ZSRS zaważyła na losach Żarnowca.

Czarnobyl wywołał oczywiście falę strachu oraz silny opór wobec budowy elektrowni jądrowej w Polsce – jednakże nie zatrzymał budowy żarnowieckiej jednostki. Prace konstrukcyjne posuwały się dalej po 1986 roku. Zamrożono je dopiero w 1988 roku ze względu na katastrofalną sytuację gospodarczą PRL. Ale ta data również nie jest końcem projektu.

Decyzję o skasowaniu projektu w Żarnowcu podjął w 1990 roku rząd Tadeusza Mazowieckiego. Powodów było wiele – ale nie sposób nie zwrócić uwagi na jeden, który najprawdopodobniej przechylił szalę. Chodzi o presję wywieraną przez górniczych związkowców, którzy widzieli w atomie zagrożenie dla interesów swojej branży. Elektrownia jądrowa oznaczała bowiem ograniczenie udziału węgla w energetyce, a co za tym idzie – zmniejszenie zapotrzebowania na surowiec. Dla sektora węglowego było to nie do przyjęcia; zaczęto zatem naciskać na rząd za pośrednictwem „Solidarności”, by atom skasować. Udało się to – i tym samym pogrzebano względnie zaawansowany projekt, który mógł stać się załącznikiem całej branży jądrowej w Polsce. Nowym elitom brakło dalekowzroczności (którą, co ciekawe, dysponował Gierek). Tymczasem nie trzeba było daleko rozglądać się za przeciwnymi, pozytywnymi wzorcami. Wystarczyło zerknąć za miedzę, na Słowację, która również stanęła wtedy przed dylematem, co zrobić z projektem rozbudowy elektrowni jądrowej Mochovce. Słowacy – także nękani potężnymi problemami gospodarczymi i społecznymi – nie

zrezygnowali z przedsięwzięcia, tylko je zamrozili. Kiedy sytuacja kraju poprawiła się, rozbudowę Mochowców kontynuowano. Wkrótce jednostka ta wzbogaci się o jeszcze jeden, czwarty blok, co obniży słowacką intensywność emisji z energetyki do poziomów francuskich. Obecnie współczynnik ten sięga ok. 150g CO₂/kWh. Dla porównania: w Polsce wynosi on 700g CO₂/kWh. Nadmienić należy, że emisje te kosztują – są obłożone ciężarami finansowymi na podstawie unijnego Systemu Handlu Emisjami ETS.

Atomowa zasłona dymna

Kolejne podejście Polski do energetyki jądrowej rozpoczęło się w roku 2008 – i trwało tak, jakby władze wcale tej elektrowni stawiać nie chciały. Ruch w stronę atomu dla wielu osób w państwie był zaskoczeniem. Z czasem pojawiały się głosy, że pracownicy Ministerstwa Gospodarki, odpowiedzialnego za sektor energetyczny, dowiedzieli się o tej decyzji z telewizji, która transmitowała konferencję premiera. Ale nie tylko urzędnicy zostali zaskoczeni. Zanedbano komunikację z mieszkańcami, stawiając ich przed faktem dokonanym: budujemy wam elektrownię jądrową i tyle. W ten sposób wzbudzone potężny opór społeczny, którego namacalną manifestacją jest – wciąż istniejąca we wsi Gąski – kapliczka z figurką Matki Boskiej Fatimskiej oraz napisem „BRONŃ OD ATOMU”. Kapliczkę odsłonięto 13 maja 2012 roku – w 31. rocznicę zamachu na św. Jana Pawła II oraz w pierwszą rocznicę uchwalenia przez Radę Ministrów programu energetyki jądrowej, który typował Gąski jako lokalizację pod elektrownię jądrową. Rozmowy, spotkania informacyjne, wyjaśnienia – to wszystko rozpoczęto dopiero później, kiedy antyatomowe mleko się

rozłąło. W tych samych Gąskach w 2016 roku przeprowadzono referendum ws. ulokowania tam elektrowni – 94% głosujących mieszkańców opowiedziało się przeciwko temu pomysłowi.

Drugi polski projekt jądrowy dość szybko wpadł w impas – choć zapowiedzi zwiastowały jego szybkie zakończenie. W 2009 roku siłami największych grup energetycznych w kraju, powołano spółkę celową PGE EJ1 i ogłoszono, że pierwszy blok jądrowy ruszy już w roku 2020, co było terminem ambitnym, ale realnym. Później przesunięto ten termin na rok 2024. Natomiast w roku 2015, kiedy koalicja PO-PSL zaczęła tracić władzę, nic nie wskazywało na to, by którakolwiek z tych dat nosiła najmniejsze choćby znamiona realności. Można tu powołać się na Najwyższą Izbę Kontroli, która w raporcie z 2018 roku ogłosiła, że „spółka PGE EJ1 odpowiedzialna za realizację zadań związanych z przygotowaniem i budową pierwszej elektrowni jądrowej w Polsce, nie wykonała do końca września 2017 r. żadnego z działań przewidzianych w I Etapie Polskiego Programu Energetyki Jądrowej”.

Ktoś może stwierdzić, że w czasie realizacji tego drugiego podejścia do polskiego atomu wydarzyła się niespodziewana zmiana okoliczności grająca na niekorzyść projektu – chodzi o katastrofę w Fukushima, która zagrała na strunach antyatomowego lęku. Jednakże, jeśli to miałyby być powód zaburzeń w realizacji projektu jądrowego, to poważne państwo powinno to zakomunikować – i albo skasować projekt, albo dokonać analiz bezpieczeństwa, albo realizować go dalej w niezmienionym kształcie. Polska postąpiła niepoważnie – projekt był, ale tak jakby go nie było.

Co więcej, brak tej powagi widać wyraźnie na papierze. Uruchamianie elektrowni jądrowej w 2020, a później – w 2024 roku było elementem kluczowych dla energetyki dokumentów strategicznych: Polityki Energetycznej Polski do 2030 (PEP2030) roku oraz Polskiego Programu Energetyki Jądrowej (PPEJ). Warto zwrócić szczególną uwagę na PEP2030, czyli – *de facto* – długoterminową mapę drogową rozwoju polskiej energetyki. Dokument ten aż do 2021 roku, kiedy został zastąpiony PEP2040, zakładał, że pierwszy blok elektrowni jądrowej ruszy w roku 2020. Innymi słowy mówiąc, przez długi czas państwo polskie opierało się na dokumencie strategicznym, który nie miał nic wspólnego z rzeczywistością. Co ciekawe, PEP2040 nie przyniosła wielkiej zmiany jakościowej – ta *Polityka Energetyczna Polski* była nieaktualna już w chwili jej przyjmowania.

Elektrownie Potiomkinowskie

Realia wykreślane przez PEP2040 przenoszą projekt jądrowy w czasy rządów Zjednoczonej Prawicy. Ten obóz szczycił się rozpoczęciem szeregu przedsięwzięć rozwojowych – m.in. w zakresie atomu. Jednakże deklaracje te miały się często z rzeczywistością.

Przede wszystkim, zauważyć należy, że zainicjowany przez ekipę Zjednoczonej Prawicy projekt jądrowy trwa i jest najbardziej zaawansowanym działaniem tego rodzaju od czasów Gierka. Jednakże w czasie, w jakim przyszło rządzić temu obozowi (a więc w okresie koniunktury gospodarczej), a także w realiach politycznych, w których sprawowano władzę (gdzie większość parlamentarna i prezydent wywodzili się z jednego obozu) można było zrobić znacznie, znacznie

więcej. Tymczasem przez pierwsze lata rozwoju projektu jądrowego, czyli za kadencji ministra Krzysztofa Tchórzewskiego w resorcie energii (2015-2019) atom stał w zasadzie na boczniczy – owszem, przyjmowano oferty od potencjalnych partnerów technologicznych, ale przesadnego ruchu w interesie nie było. Nie było też kluczowych decyzji, które pan minister zapowiadał – np. w 2017 r. mówił, że decyzja o atomie musi być podjęta w tym właśnie roku. W marcu roku 2018 twierdził, że decyzja o rozpoczęciu budowy elektrowni jądrowej może zapaść jeszcze przed Wielkanocą (która wypadła 1 kwietnia). Siedem miesięcy później wskazywał, iż nieformalna decyzja ws. atomu już zapadła, ale formalna jeszcze nie. Dodał też, że „na 90%” krok ten zostanie wykonany jeszcze „za jego kadencji”. W roku 2019 minister Tchórzewski przestał być ministrem, decyzji nie podjęto – jak widać, przeważało 10% szans.

Można w tym momencie zastanowić się, o jaką dokładnie decyzję chodziło panu ministrowi. Biorąc pod uwagę szacunek, z jakim traktowano dokumenty pokroju *Polityki Energetycznej Polski*, założyć należy, że minister Tchórzewski miał na myśli coś więcej niżli tylko wpisanie atomu do tego rodzaju planów – nimi i tak nikt się nie przejmował (atom wpisano do PEP2040 w 2021 roku). Rolę takiej decyzji mógł natomiast pełnić wybór partnera technologicznego – ten nastąpił w listopadzie roku 2022 (wskazano dostawcę amerykańskiego) i został ogłoszony... w mediach społecznościowych premiera Mateusza Morawieckiego. Jak się bowiem okazało, szef rządu ścigał się na atom z wicepremierem Jackiem Sasinem, który w kilka dni po publikacji swojego zwierzchnika udał się w podróż do Korei Południowej, by zawrzeć porozumienia dotyczące... drugiej elektrowni jądrowej, niewchodzącej jednak w skład projektu rządowego. Gwałtowny wysyp projektów jądrowych nie pomógł jednak w przyspieszeniu ich realizacji – rząd Zjednoczonej Prawicy oddał władzę z około dwuletnim

opóźnieniem projektu jądrowego. W ciągu tych 8 lat nie podjęto kluczowych decyzji dla atomu – nie wybrano modelu finansowego, nie notyfikowano w Komisji Europejskiej pomocy publicznej, nie podpisano kontraktu wykonawczego. Owszem, wydano decyzję środowiskową czy lokalizacyjną, ale – jak to zostało wskazane wyżej – można było zrobić znacznie, znacznie więcej.

Jądro ciemności

Patrząc przez pryzmat powyższych wypadków, widać jak na dłoni, że projekt jądrowy obnażył wszystkie możliwe niedostatki polskiego państwa. Brakuje w nim strategii i wizji. Nie szanuje się dokumentów o kluczowym znaczeniu dla gospodarki. Patrzy się kadencyjnie. Panuje strach przed decyzyjnością. Nie istnieje komunikacja ze społeczeństwem. W takich warunkach nie da się realizować potężnych projektów infrastrukturalnych. Te, które mimo wszystko powstają (terminal LNG w Świnoujściu, Baltic Pipe) należy traktować w kategoriach cudu, wywołanego w dużej mierze konkretnym, mierzalnym i zrozumiałym zagrożeniem (w tych przypadkach: energetyczną presją Rosji). Kiedy takiego czynnika nie ma – polskie państwo nie potrafi się zmobilizować do działania. Niestety, świat nie będzie czekał, aż Polacy nauczą się działać sprawnie, tylko nie dość, że sam pójdzie do przodu, to jeszcze wykorzysta ich niezbornosć. A transformacja energetyczno-klimatyczna, będąca potężną machiną polityczną, tworzy do tego doskonałe wręcz okoliczności.

Jakub Wiech

fot. Adam Kuśmierz / FLICKR (lic.)

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
